Rok 1935. **24 marca.** **Nr. 13.**

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

W czas pokuty — w czas poprawy.

Tak codopiero niedawno rozbrzmiewały radośnie kolędy, że mogłoby się zdawać, iż echa tego śpiewania po całym świecie jeszcze zamilknąć nie mogły zupełnie i że jeszcze gdzieś po zakątkach ziemi podźwiękują słowa „Ach ubogi żłobie“... A tu tymczasem... jakże inne zastąpiły je wyrazy: „Ach, ach, na Krzyżu umiera, Jezus oczy swe zawiera“... Tensam Jezus, któremu cały świat od pasterzy ubogich do możnych królów pokłonił się przy żłóbku Betlejemskim, teraz dokonywa już Swego krótkiego żywota, zawieszony na okrutnem drzewie Krzyża...

Więc już nie „śpiewajmy Mu wesoło“, ale „rozmyślajmy, wierne chrześcijany“, wzywajmy gorzkich żali. niech przybywają, niech przenikają serca nasze do głębi nad tą straszliwą Męką Zbawiciela.

I za cóż to On tę mękę ponosi? Za to, że Bóg Najwyższy, Stwórca świata i wszelkiego stworzenia, został przez to stworzenie Swoje tak strasznie obrażony, że aby tę obrazę Boskiego Majestatu okupic, żeby ją zmazać, unicestwić, trzeba było, by Syn samego Boga przelał Swą Krew najświętszą. Tylko Syn-Bóg mógł przebłagać Boga-Ojca, by odpuścił przewiny ludzkie. I Chrystus to właśnie uczynił: pojednał nas z Bogiem.

Ale do nas należy współdziałać w dziele odkupienia naszego, gdyż zadarmo szczęścia wiecznego nie dostąpimy. Całe życie jest porą na to przeznaczoną. Jednak szczególnie wzywa nas do tego Kościół Katolicki w czas Wielkiego Postu — w tym okresie żałoby, pokuty, poprawy.

Niechajże i dla wszystkich Czytelników „Dzwoneczka“ Wielki Post stanie się czasem poprawy, boć przecie i młodzież, nawet dzieci błądzą, grzeszą, chociażby niekoniecznie rozmyślnie. Niech się więc ze swoich błędów podnoszą, ze swych wad, przywar poprawiają, aby — kiedy po tej porze powszechnych rekolekcyj, zadzwonią dzwony na radosne Alleluja, każde dziecko, podobnie jak starsi, mogło przed własnem sumieniem powiedzieć sobie, że jest już... troszkę lepsze, niż było.

Red.

Służebny chleb.

Dzieci, znacie dobrze taką chwilę w domu, kiedy to mama, przyniósłszy świeży bochenek chleba, zabiera się do rozpoczęcia go, by zaspokoić wasze apetyty. Jedną ręką przytula go do siebie, jakby w pieszczocie, gdy drugą, nóż ostry w niej trzymając, znaczy po spodniej stronie bochenka znak krzyża świętego. Mało jest chyba w Polsce rodzin chrześcijańskich, gdzieby ten piękny i głęboką myśl zawierający zwyczaj, nie zachował się do dni dzisiejszych. A potem — kraje matka jedną skibkę po drugiej, na które już czekają wyciągnięte łakomie dłonie dziecięce. Jakże smakuje taki chleba kawałek

ręką matczyną podany z kochającego serca! Szczęśliwe dzieci, którym do końca życia chwile te pozostaną w pamięci rzewnem wspomnieniem.

Ale bywają na świecie inne dzieci, do których nigdy nie wyciągnie się z uśmiechem dobroci ręka matki. To są owe wszystkie smutne sieroty, owe biedne, zahukane od lat najwcześniejszych dzieci w służbie u obcych, niechętnych im ludzi. Nazywają się ci ludzie zazwyczaj chlebodawcami, ale ileż to razy zwalają oni na dziecko-służkę jak największy ciężar pracy, jednocześnie wydzielając im jak najmniejszy chleba kawałek. Toż nic dziwnego, że się potem żali taka biedna sierotka Marysia czy Kasia w smutnej piosence o służebnym chlebie:

Oj, Boże, mój Boże
Z wysokiego nieba,
Nie dajże mi zażyć
Służebnego chleba.
Służebny chleb ciężki,
Jak ten kamień młyński:
Mało go jeść dają,
Jesce wycytają.

Gdy ci dadzą placku
Jak bukowy listek,
Jesce pozierają,
Cym go zjadła wszystek.
A ja go nie jadła:
Jest tam nade drzwiami,
Co pożrę na niego,
Obleję się łzami.

(Powyższą śpiewkę pasterek zapisała Rozalja Jania w Mszanie Dolnej na Zarabiu, a przysłał nam ją ks. Stanisław Krawczyk, by się dostała do zbioru piosenek ludowych).

W schronisku św. Bernarda.

Duże zainteresowanie, jak słyszymy, wzbudziły zamieszczone w ostatnich numerach „Dzwoneczka“ artykuły o wspaniałych, chociaż tak groźnych zjawiskach przyrody, jakimi są lawiny w górach, a jeszcze może więcej zaciekawiła, poprzednio przez nas podana, historja o poczciwych psach z góry św. Bernarda w Alpach, które umieją ratować ludzi zasypanych wśród śniegów. A właśnie niedawno na tę odciętą od świata i ludzi górę odbyła polska podróżniczka, pani Wanda Romocka, niezwykle zajmującą wycieczkę. Z jej opowiadań dowiadujemy się, jak tam wygląda dzisiaj, czy się co z czasem zmieniło.

Otóż obecnie prowadzi tam już murowana szosa, wijąca się wśród ciągłych zakrętów, ponad przepaściami, których dna dojrzeć nawet nie można. Jest ona tak wązka, że zmieścić się na niej może zaledwie jeden wóz, lub samochód, toteż ciągle brzmią donośne alarmy ostrzegawcze dla uniknięcia katastrofy.

Po takiej denerwującej jeździe, stanęła wreszcie nasza podróżniczka u bram klasztoru. Nie jest to Zgromadzenie Bernardynów, jak sobie ludzie, ze względu na nazwę góry, wyobrażają zwykle. To Kanonicy świeccy reguły św. Augustyna. Nie noszą oni habitów, tylko sutanny. W XI stuleciu św. Bernard z Menthon założył na tej górze schronisko dla podróżnych, które po dziś dzień nazywa się Hospicjum św. Bernarda.

Zadźwięczał dzwon oznajmiający przybycie kogoś ze świata, poczem gość wszedł w korytarz sklepiony, gdzie odrazu rzuca się każdemu w oczy wmurowana w ścianę czarna tablica. Głosi, że w klasztorze tym zamieszkiwał przeszło wiek temu wielki cesarz Francuzów Napoleon, który z armją swą zwycięską przeszedł Alpy, wyruszając na podbój świata.

Wysoko z ponad półki spogląda jak żywy, ale już tylko wypchany, sławny pies-bohater Barry, którego rycinę pamiętają Czytelnicy nasi z nru 6-go. On niejako przypomina wszystkim o obowiązkach, którym oddał swoje życie.

Wychodzi do gościa z Polski zakonnik w czarnej sutannie, od której odbija wyraźnie pletnia białego sznura, przewieszonego przez plecy i piersi.

Zaczyna się ciekawa rozmowa o warunkach tamtejszego życia, o pracach, rozrywkach, o wszystkiem. Okazuje się, że księżą wstają już o piątej rano i zaraz po Mszy św. rozpoczynają swoje prace. Jedni zajmują się czynnościami gospodarskiemi, inni nauczaniem młodych seminarzystów, których jest w tem Hospicjum 80.

Niewielu z nich pozostanie na miejscu lub pójdzie do drugiego klasztoru w Alpach, reszta zaś obejmie parafje, rozrzucone zrzadka wśród tych gór wysokich, gdzie pracować mogą tylko kapłani dobrze z Alpami obeznani i zaprawieni do ciężkiego życia w tym klimacie. Na pytanie podróżniczki, czy wstępują do tego zakonu także i cudzoziemcy, brzmiała odpowiedź zakonnika przecząco.

— My tu wszyscy, z tej czy z tamtej strony Alp — opowiadał z uśmiechem — jesteśmy góralami. W takich górach jak nasze potrafi żyć tylko góral. Człowiek pochodzący z nizin nie wytrzymałby tutaj. Nie wytrzymałaby jego dusza, nie wytrzymałoby ciało. Przecież tu panuje wieczysta pustka, wieczysta samotność i... dziewięciomiesięczna zima. Dni schodzą nam na modlitwie, rozmyślaniach, nauce i nigdy nieustającej walce z zimnem, śniegiem i wichrami. Poza tem tylko dla ćwiczeń uciążliwych wyjeżdżamy na nartach ze swemi poczciwemi psami.

(Dokończenie nastąpi)

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Nad rzekami spotykano gdzieniegdzie ludzi przepłukujących piasek i szukających w nim złotych okruchów. Gdzieindziej zatrzymywali ich przekupnie, ofiarując świeżo wydobyte z przebogatej na tej wyspie ziemi djamenty, lub kosztowne perły z mięczaków codopiero wyłowionych z morza.

— No, nie brak tu w istocie skarbów na tej wyspie — zauważył pan Willington.

— Ach, czego tu niema, kochany przyjacielu! — wołał pan Mersen. — Widziałeś perły, złoto, djamenty, a tu tylko kopać, toby się z ziemi dostało i antymon, żelazo, miedź, siarkę, węgiel kamienny, naftę, glinkę porcelanową. Cóż, kiedy te bogactwa nie wyzyskane dotychczas. Zresztą, ogromna ta wyspa obejmująca kilkanaście tysięcy mil kwadratowych obszaru, nie jest nawet dobrze poznaną, zwłaszcza tam za górami, we wnętrzu, gdzie w lasach lub na stepach żyją całkiem dzicy Malajowie, gdzie prawie nie widziano Europejczyka. Przecież na Borneo wśród dwóch miljonów ludności jest zaledwie parę tysięcy Europejczyków, na południu po większej części Holendrów, a na północy Anglikow.

— Ano — śmiał się pan Robert — zabierzmy się do odkrywania tajemnic, jakie dla nas jeszcze Borneo ukrywa. Nie żałuję,ześ mnie tutaj ściągnął, ponieważ widzę naocznie, choćby w ciągu tej podróży, co tu za bogactwo, które rzeczyiwiście aż się prosi, by je wyzyskać należycie.

— Ależ gdyby tu nawet nic innego nie było, jak tylko ta bujna roślinność podzwrotnikowa, to jużby warto na Borneo jechać, by korzystać z naturalnych skarbów, jakich dostarczają te wspaniałe lasy.

Droga naszych podróżników ciągnęła się przeważnie lasami, pełnemi małp z orangutanem na czele, rzadziej zaś polami, na których plantatorzy angielscy uprawiali trzcinę cukrową, lub Malajczycy hodowali banany.

Lasy palmowe przedstawiały widok tem ciekawszy, że się wśród nich spotykało po kilkanaście różnych gatunków tylu pięknych drzew strefy gorącej.

Nakoniec niską a szeroką przełęczą przeprawiwszy się przez dość znaczny łańcuch górski, przybyli nasi wędrowcy na słoniach do celu podróży. Trwała ona blisko tydzień. Zatrzymali się w puszczy dobrze wykarczowanej, gdzie u stóp pasma górskiego znajdowała się osada ludzka. Zastano tu kilka domów, wprawdzie z samego bambusu zbudowanych, ale niepodobnych do mieszkań Azjatów, raczej przypominających wille pod miastami w Europie.

Tu właśnie mieścił się zarząd przedsiębiorstwa pod nazwą „Plantacje kauczuku". Tutaj było też mieszkanie pana Mersena i jeszcze jednego z właścicieli przedsiębiorstwa, pana Brylsa, podczas gdy inni wspólnicy nie mieszkali wcale na Borneo. Żyło tu kilku urzędników zarządu, samych Anglików, w otoczeniu licznej służby, złożonej z Malajczyków. Osobny dom, chwilowo opróżniony po ustąpieniu poprzedniego dyrektora, oczekiwał teraz na przyjęcie pana Willingtona z synem i jego nauczycielem, oraz służbą.

Na trzask bata w czarnej ręce Papuanina, słonie przyklękły, a wtedy, schodząc po drabinkach bambusowych, podróżni opuścili swoje siedzenia w wielkich koszach, nad któremi błękitniały namioty z jedwabnej materji, na drążkach rozpięte. Banka, która dotychczas była w drodze pełna radości, posmutniała teraz na widok otoczenia przyszłego ich siedliska. Ani mieszkanie, ani sposób życia gromadki osadników europejskich na tym oczyszczonym z drzew leśnych placu, nie dawał jej pełnego wrażenia pobytu na dzikiej wyspie Borneo, o której tak sobie marzyła przez długie lata, żyjąc zdala od swoich stron rodzinnych. Wprawdzie pocieszała ją nadzieja, że dokoła otaczać ją będą odtąd bracia jej Malajowie, ale z nieufnością przyglądała się Anglikom, uwijającym się po kolonji na koniach, odczuwała bowiem, że ci biali zaprowadzają tu wśród brunatnej ludności, po swojemu jakieś inne porządki i zwyczaje. *C. d. n.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

ŁAMIGŁÓWKA.



1) Spółgłoska
2) Napój alkoholowy.
3) Godło niewinności.
4) Część ubioru arcybiskupa.
5) Zmarznięte błoto.
6) Pierwszy chrześcijański władca Polski.
7) Rodzaj trąby.
8) Dawna ludność Pomorza.
9) Rzeka w Rosji.
10) Ozdoba stroju kobiecego.
11) Rzemieślnik.
12) Chroni przed deszczem.
13) Służy pod naczynia.
14) Narząd zmysłu.
15) Samogłoska.

Linja pionowa oznaczona krzyżykami ma dać imię i nazwisko wielkiego poety polskiego. *(Ułożył Stan. Kaliski)*